

SOCIALOWY WIELKI BRAT. KTO WYZNACZY „GRANICE” WOLNOŚCI SŁOWA?

Wygląda na to, że media społecznościowe są jedynymi podmiotami, posiadającym moc uciszania polityków. Co więcej, można powiedzieć, że to jedyne platformy, które tego skutecznie dokonały. Niczym efektem domina po ataku na Kapitol kolejne serwisy banowały prezydenta Trumpa – warto się teraz zastanowić, czy decyzja o tym nie była nazbyt pochopna i przede wszystkim nie stała się potężnym strzałem w kolano.

Donald Trump, jak i wielu innych socialowych „celebrytów”, był bardzo uciążliwym użytkownikiem dla największych platform społecznościowych, które od czasu do czasu subtelnie starały się reagować na publikowanie haseł np. podważających wynik wyborów prezydenckich – a to oznaczeniem posta amerykańskiego prezydenta jako „nieprawdziwa informacja”, a to obcięciem zasięgu innej treści. I już wtedy pojawiły się głosy osób propagujących hasła o cenzurze oraz tych, co mówili o konieczności „sprzątnięcia” platform. Stawiało to też w trudnej sytuacji same serwisy, które hucznie ogłaszały kolejne groźby o usuwaniu treści szerzących dezinformacje czy podważające wynik wyborów w Stanach Zjednoczonych, a później stawały w obliczu decyzji co należy zrobić z wpisami tego typu publikowanymi przez jednego z najważniejszych polityków.

Bez wątplenia kategoryczne „uciszenie” Donalda Trumpa w mediach społecznościowych, po wtargnięciu na Kapitol grupy protestujących, zyskało sporą grupę zwolenników i tyle samo przeciwników. Wygląda jednak na to, że zbanowanie amerykańskiego prezydenta wywołało bardzo ważny skutek – silną reakcję polityków i wytoczenie przez nich dział regulacyjnych względem platform społecznościowych. W końcu - chciałoby się rzec - bo groźby o uregulowanie rynku mediów społecznościowych padały już wielokrotnie – jednak na groźbach się kończyło. Co będzie teraz?

Strażnicy „wolnej amerykanki”

Platformy społecznościowe miały ciężki rok – szerząca się dezinformacja odnośnie koronawirusa, kampania w Stanach Zjednoczonych i realna groźba kolejnego wykorzystania mediów społecznościowych do ingerencji w proces wyborczy, a także podważanie ich wyników - dało się im mocno we znaki. Oczywiście nie wolno zapomnieć o szerzącym się ruchu QAnon, który też dał o sobie znać – i z pewnością nie był to „gość” pożądanym. Z jednej strony warto pamiętać o srogiej krytyce, jaka spadła na media społecznościowe z uwagi na zbyt ociążałą pracę na rzecz zwalczania dezinformacji, „stadami” botów siejących ferment czy grupy, na których pojawiały się nawoływania do popełniania przestępstw. Z drugiej strony można jednak wytknąć brak rzeczywistych działań ze strony rządów państw mających na celu uregulowanie tego bastionu „wolnej amerykanki” – pomimo, że dyskusja o tym prowadzona była na długo przed styczniowymi wydarzeniami w Waszyngtonie.

Co warto podkreślić, media społecznościowe stanowią bardzo ważną siłę, jeśli chodzi o możliwości wywierania wpływu na kierunki debaty publicznej, informowanie społeczeństwa, popularyzację trendów i promowanie określonych narracji. Pomiędzy istotne elementy związane z prowadzeniem

marketingu biznesowego czy nowych zawodów, które wykształciły się wraz z ich rozwojem i skupmy się na ich istocie w kontekście funkcjonowania współczesnej polityki. Widzieliśmy nie raz, nie dwa, jak na platformach społecznościowych rozgrywały się liczne „dramy” z politykami w rolach głównych – dziwne, nieprzemyślane – żeby nie powiedzieć „głupie” wpisy, wywody, po których użytkownicy zastanawiali się czy przypadkiem nie były to przegrane „dysputy” z Johnnie Walkerem czy treści pisane ewidentnie wbrew zasadzie „wkurzyłeś się – wyloguj się z Twittera”. Media społecznościowe stały się elementem pracy polityków i prowadzenia kampanii, ogłaszania i transmisji konferencji prasowych czy stałego informowania swoich wyborców o spotkaniach, prowadzonych działaniach czy po prostu walki politycznej. Stały się również miejscem zbierania grup zwolenników i rozgrywania kampanii wyborczych.

I dlatego też, mając na uwadze, że media społecznościowe przestały być niewinną zabawką, a stały się stałym elementem naszego funkcjonowania – czy tego chcieliśmy, czy nie - przyniosły ze sobą coś więcej – konieczność zmierzenia się z zagrożeniami, które pojawiły się wraz z ich powstaniem. A skoro nabyły możliwości ingerowania w życie polityczne, w tym wpływaniem na tak ważne obszary jak demokratyczne procesy wyborcze, konieczne stało się ich uregulowanie. I należy powiedzieć wprost i dobitnie - to nie Mark Zuckerberg, ani nie Jack Dorsey, ani żaden z właścicieli platform społecznościowych, które już istnieją lub te dopiero co się rodzących w bólach i cieniu gigantów są tymi, którzy mogą decydować o odbieraniu głosu komukolwiek.

Hold on, Mr Facebook

„Zakneblowanie” amerykańskiego prezydenta dość szybko wywołało reakcje polityczne – ciężko się dziwić. W końcu kto by pomyślał, że rozpoczynając trzecią dekadę dwudziestego pierwszego wieku będziemy rozmawiali o wolności słowa. Dość wyraźnie usłyszeliśmy zatem głos Angeli Merkel. Niemiecka kanclerz jako jedna z pierwszych subtelnie określiła zablokowanie konta Trumpa jako „problematyczne”. I to chyba najbardziej dyplomatyczne określenie, jakie padło w odniesieniu do dość zaskakujących informacji skierowanych od platform społecznościowych, które to same sobie nadały prawo do decydowania o tym, na jaki okres czasu Trump pozostanie bez „socialowego prawa głosu”. To zdanie dość zbieżne z opinią Thierrego Bretona, komisarza UE ds. rynku wewnętrznego, który stwierdził, że „niezależnie od uzasadnień decyzja ocenzurowania urzędującego prezydenta powoduje konsternację. [To, że szef firmy może >wyłączyć głośnik< prezydenta USA bez żadnej kontroli i przeciwwagi](#)”.

Założenie „knebla” potoczyło się jakby efektem domina – od jednej decyzji do drugiej – kolejne platformy ograniczały i usuwały ostatnie wpisy, chwilowo ograniczały możliwość korzystania z kont aż po decyzje o banach na określoną ilość dni. Od czego zależała skala ograniczeń? Od partykularnych decyzji platform – tylko i wyłącznie. I prowadząc ten krótki wyścig o to, kto bardziej dopiecze Trumpowi, poruszając się niczym w srogiej mgłę decyzyjnej, chyba one same nie zorientowały się, że się zagalopowały.

Nieoczekiwanie giganci IT nie poprzestali na samym uciszeniu amerykańskiego prezydenta – postanowili również uciszyć Parlera – jako powód podając szerzenie treści rasistowskich i antysemitów. Jednak warto przypomnieć, że również na Facebooku pojawiały się treści, ba całe grupy, w których uczestnicy twierdzili nawet, że „[czas wyczyścić broń, czas wyjść na ulice](#)” (po niekorzystnych dla Trumpa wynikach wyborów) czy wyrażali [rasistowskie hasła](#) względem Kamali Harris. Nie podjęto również decyzji o usunięciu Instagrama, który został oskarżony o doprowadzenie do [śmierci nastolatki](#) po zapoznaniu się z treściami z samookaleczeń. Taka decyzja nie zapadła również po tym, jak TikTok na żywo [transmitował próbę samobójczą](#). Pomimo [oficjalnego tłumaczenia](#) Amazona, Apple i Google, nietrudno odnieść wrażenie, że na fali „oczyszczania internetu z nienawistnych treści” i poczuciu fałszywej legitymizacji do podjęcia takich działań po wtargnięciu na Kapitol – po prostu wyeliminowano konkurencję.

Cenzura jako hasło, padały jednak już wcześniej. Musimy pamiętać, że Donald Trump nie jest jedynym politykiem, względem, którego wymierzono taką „karę”. Znamy chociażby z naszego podwórka przykład blokady Janusza Korwina-Mikke. W Polsce już od pewnego czasu toczyła się również dyskusja nad usuniętymi kanałami YouTube, filmami, wpisami czy profilami z jednej strony uważanych za hejterskie, dehumanizujące i propagującymi nienawiść, a z drugiej za przejawy dyskryminacji prawicowych treści oraz cenzury. Zmagania te niewątpliwie doprowadziły do odpływu użytkowników na „prawdziwie wolne”, „prawicowe” i „nieocenzurowane” platformy społecznościowe, w tym również na lekko skompromitowaną poprzez masowe wyrzucanie swoich użytkowników, dopiero co otworzoną rodzimą platformę Wolnisłowanie.pl

Czytaj też: [Strona Janusza Korwin-Mikkego usunięta przez Facebooka](#)

Słowo „cenzura” padło również od polskiego premiera, który zapowiedział, że nasz kraj podejmie się działań mających na celu uregulowanie funkcjonowania mediów społecznościowych. Każda moneta ma jednak dwie strony i warto pamiętać, że także w Polsce istnieją grupy, mylące wolność do publikowania wszelkich swoich myśli z „prawem” do obrażania, dehumanizowania i dyskryminowania. Nie mówiąc już o całej maści wpisów poniżających oraz uwłaczających godności ludzi, mylonych z krytyką.

Kto wyznaczy „granice” wolności słowa?

Oczywiście możemy mówić, że wolność słowa powinna być nieograniczona. Jednak raczej nie mieliśmy wątpliwości, że z TikToka powinno zniknąć nagranie wyśmiewające i negujące Holokaust. Nie mieliśmy również wątpliwości, że Instagram powinien reagować tu i teraz, kiedy dochodziło do publikacji treści ukazujących samookaleczenie - tak samo nikt nie ma wątpliwości, że sieci społecznościowe powinny być oczyszczone z materiałów propagandowych przesyłanych przez Państwo Islamskie. Spieramy się natomiast, w którym momencie dochodzi do „wyrażania opinii” i „krytyki”, a kiedy do „hejtowania” (i Nobla dla tego, który tę granicę wyznaczy), a także w którym momencie usuwanie treści dezinformacyjnych jest „usuwaniami fake newsów”, a którym to już cenzura. Z pewnością wszyscy chcielibyśmy funkcjonować w socialowej utopii, gdzie wszyscy będą dla siebie mili, dominować będzie kulturalna dyskusja oparta na merytorycznych argumentach i czytać będziemy jedynie informacje, które mają pokrycie w faktach. Jeśli sądzimy jednak, że rządy, Unia Europejska czy choćby najlepiej napisany kodeks załatwi sprawę - jesteśmy w wielkim błędzie. Trudno sądzić również, że platformy społecznościowe dadzą bez oporu odebrać sobie możliwość pełnienia roli „Wielkiego Brata”. Stoimy zatem przed bardzo poważnym problemem - jak uregulować, aby nie „wylać dziecka z kąpielą”?

Pomysł polskiego resortu sprawiedliwości już wywołał niemałą burzę. Projekt przewiduje powołanie pięcioosobowej Rady Wolności Słowa, która będzie stać na straży konstytucyjnej wolności wyrażania poglądów w serwisach społecznościowych. W skład Rady mają być powoływani eksperci w dziedzinie prawa i nowych mediów. Sejm będzie ich wybierał na sześcioletnią kadencję kwalifikowaną większością 3/5 głosów. Niemal automatycznie opozycja wykazywała, że projekt jest skandaliczny i jak stwierdziła Kamila Gasiuk-Pihowicz (KO) prowadzi do ograniczenia wolności mediów społecznościowych, gdyż „podporządkowuje serwisy instytucjom państwa”. „Bowiem każde odwołanie od ich decyzji będzie musiało przejść przez wybraną przez polityków Radę (Wolności Słowa), zanim trafi do sądu administracyjnego” - tłumaczyła.

Wydaje się, że pomysł budzi sporo kontrowersji nie bez przyczyny - Rada wybierana byłaby przez polityków. Dlaczego zatem to Rada a nie bezpośrednio sąd miałby zajmować decydowaniem, jakie treści są zgodne z polskimi przepisami prawnymi, a co nie? Swoje rozwiązanie ogłosiła również Konfederacja, która z kolei proponuje, aby spór pomiędzy użytkownikiem a platformą był rozstrzygany

bezpośrednio w sądzie.

Kwestia rozwiązania tego problemu nie jest jednakże domeną tylko polityków – również platformy, które przekroczyły pewną granicę będą musiały same odpowiedzieć sobie na pytanie „co teraz?”. Nie ukrywajmy, że działania regulacyjne będą przeciąganiem liny pomiędzy politykami a prywatnymi, gigantycznymi korporacjami. Gdzieś pomiędzy nimi będą stali użytkownicy, którym raczej nie powinno zależeć, aby i jedna i druga opcja pozyskała zbyt dużą przewagę. W końcu, nie łudźmy się – kontrola nad mediami społecznościowymi to łakomy kąsek również dla polityków. Musimy więc mieć pewność, że nie zamienimy jednego „Wielkiego Brata” na innego.



Reporterskie śledztwo o współczesnych metodach prowadzenia wojny informacyjnej

Sklep.Defence **24**